

Maria Boczoń

Wspomnienia

Aresztowanie ojca i braci przez gestapo

Jacek Boczoń

opracowanie na podstawie rękopisu Marii Boczoń z domu Benisz

Aresztowanie

Był rok 1943, 16 października. O tym pamiętnym roku i dniu pamiętać będę do końca swego życia, a byłam wówczas 15-letnim dzieckiem. Rodzina moja składała się z 6 osób — rodzice, trzech bracia i ja. Byliśmy rodziną szczęśliwą, pomimo utraty majątku i przejść ucieczki oraz biedy, gdyż wszystko, co posiadaliśmy zostało w Katowicach. Brak wszystkiego — gdyby nie pomoc rodziny mej matki i przyjaciół Ojca z Gorlic, którzy przyszli nam z pomocą, byłibyśmy nędzarami. Gdy ciocie — siostry mamusi — dały nam pokój i kuchnię w swym domu, już mieliśmy dach nad głową, a później przyjaciele przysyłali jakieś meble i tak zostaliśmy wyposażeni w sprzęt domowy.

Ale wracam do dnia poprzedzającego aresztowanie mych bliskich. Był to piątek, przyjechała wtedy do mnie w odwiedziny moja przyjaciółka z siostrą. Poszliśmy spać dosyć późno, gdyż młode dziewczęta z Rymanowa — Puta (Hela) i Baba (Marysia) Potockie — jak to bywa w takich wypadkach, młodzi ludzie nawet w takich czasach potrafili tryskać dowcipem i humorem. Tak też było dnia poprzedzającego tragedię. Nawet przez moment nie przypuszczaliśmy, że to jest nasz ostatni wspólny wieczór wśród rodziny i przyjaciół.

Najstarszy brat Artur miał wówczas 26 lat i ukończony 3 rok prawa na UJ w Krakowie. Brat Mieciu — 21 lat, 1 klasę licealną i Lesiu — lat 19, 4 klasę gimnazjalną, no i ja 15-latka. Wobec takiej sytuacji brat Artur odstąpił gościom swe łóżko i poszedł spać do cioci Gieni Mielowskiej, która po nas zajmowała na parterze mieszkanie. Po pożegnaniu ułożyliśmy się do snu.

Zdawało się nam wszystkim, że jest wszystko w porządku, lecz nie. O godz. 4:15 rano walenie do drzwi wejściowych i straszne krzyki: „Otwierać!” w języku niemieckim. Zerwaliśmy się na równe nogi przerażeni, lecz jeszcze nie dotarło do nas, że to Niemcy. Jedna z ciotek zeszła na dół i otworzyła drzwi. Wpadła wówczas zgraja szwabów na korytarz, krzycząc do cioci, gdzie mieszka Benisz, gdy wskazała, znów rozległo się walenie w drzwi i krzyki przed mieszkaniem.

Gdy mamusia otworzyła drzwi, do mieszkania wpadli gestapowcy: Frydrich, Baron i Drzyzga (z Jasła) oraz zgraja żandarmów, którym Drzyzga kazał wcześniej obstawić dom i mieszkanie. Gestapowcy wpadli do sypialni, a Baron, krzycząc, że wszystko wiedzą od Stankowskiego o pracy mego Ojca i rodziny, gdyż ten zdradził ich udział w konspiracji. Strach nas obleciał, bo Stankowskiego znaleźliśmy od dawna, był on kierownikiem szkoły w Szymbarku i wiedzieliśmy o jego zaangażowaniu w AK (propaganda). Baron wpadł do sypialni i kazał ubierać się Ojcu, wrzeszcząc na cały głos, że on potrafi dowiedzieć się więcej w Szklarczykówce, na przesłuchaniu i jak nagle nie uderzy z całej siły Ojca w twarz, tak mocno, że Ojciec upadł. Braciom także kazał ubierać się i to szybko. Ja natomiast chciałam Ojca podnieść i podać mu krople na serce, gdyż był ciężko chory, lecz ten drań odtrącił mnie, wrzeszcząc, że jemu już lekarstwa nie są potrzebne. Jakoś Ojciec wstał. Gdy ten sadysta wyżywał się na Ojcu, wszedł Frydrich i zabronił Baronowi bić Ojca. Natomiast Drzyzga przyglądał się tym wyczynom i obserwował nas i coś tam krzyczał po niemiecku.

Wspomnienia

Frydrich w tym czasie był w kuchni, a na kredensie miał plik kenkart i wybierając je, krzyczał: „Jan Benisz! Lech!, Mieczysław!, Emil!”. Gdy to robił, ja zaglądałam Frydrichowi przez ramię, co robi (czy czegoś nie podrzuci trefnego), na to wszedł Baron i jak mnie uderzył w twarz, ale tak, że wybił mi dwa zęby. Zrobił to w ten sposób, że nie pozostawił żadnego śladu bicia (drań to potrafił), krzyczał przy tym, że jestem taką samą świnią jak Ojciec, lecz gdy chciał mnie drugi raz uderzyć i gdy się zamierzył do bicia, Frydrich mu nie pozwolił, a ja wyplułam dwa zęby na rękę. Zarechotał i pogroził mi palcem. Drzyzga zarechotał, natomiast Baron wyjął kajdanki i wszedł do sypialni i kazał skuć najpierw Lesia, potem Ojca i Miecia, a następnie kazał im wychodzić. W tym momencie Frydrich zorientował się, że nie ma Artura. Pyta więc nas, gdzie Emil, zwracając się do Mamusi i do mnie: „Gdzie jest?”. A myśmy, jak na komendę odpowiedziały, że poszedł do kościoła. „Tak? To go poszukamy” — odpowiedział Frydrich. Po tym pytaniu przystąpił do pobieżnej rewizji pokoju zajmowanego przez Ojca i braci i kazał nam zabrać osobiste rzeczy (mamusie, moje i naszych przyjaciółek), gdyż pokoje będą zaplombowane i zamknięte. Ja, myśląc o Arturze, i wiedząc, gdzie jest, zabrałam pod spód mych rzeczy jego buty i ubranie. Gdy Frydrich dokonał zaplombowania i zamknięcia pokoi, zabrał klucze do kieszeni. Powiedział, że wróci jeszcze, a nam kazał przejść do kuchni. Gdy wyprowadzali Ojca i braci, chciałyśmy się pożegnać, lecz nas odtrącili i nie pozwolili — łotry. Od tej chwili już nigdy nie zobaczyliśmy Ojca i braci.

Gdy już wiedziałyśmy, że Niemców nie ma, podeszłam do okna w kuchni i zobaczyłam, że idzie do pracy do Glinika nasz sąsiad Janek Świątalski. Zapukałam w okno i otworzyłam je, mówiąc mu o aresztowaniu i o Arturze, że jest on u cioci Gieni i podałam mu rzeczy Artura, prosząc, by zaraz zaniósł je do swojego domu, mówiąc, że do nich przyjdzie. Ciotki tymczasem obserwowały ulicę i ciocia Janka wpadła do cioci Gieni i Arturowi kazała uciekać do Świątalskich przez okno z korytarza i tak mój brat uratował się.

Niedługo potem, bo za jakieś 20–30 minut, przysłano żandarma i utworzono w domu kocioł w naszym mieszkaniu. Kazał on sobie podać krzesło i usiadł w przedpokoju, pilnując nas, abyśmy kogoś nie ostrzegły przed „kotłem”. Ciocia Janka zeszła z góry, nie wiedząc, że jest u nas żandarm. Zapukała, ten zaraz zerwał się i otwiera drzwi i każe wejść cioci do mieszkania, pytając, po co przyszła, lecz mama, znając język niemiecki, tłumaczy, że jest gospodynią tego domu i pyta, czy może przynieść nam coś do jedzenia (był to żandarm z Górki i znał nas z widzenia, żandarmeria mieściła się obok, a raczej trochę niżej na Górcie w domu Święcha, a naprzeciwko nas, w domu prof. Prokopka [przyp. J. Boczonja: obecnie Makowieckich], gdzie mieszkał szef żandarmerii Fülliber — znany oprawca i drań), żandarm wypuścił ciocię i kazał przynieść jedzenie dla nas. Następnie przyszedł do nas syn naszej mleczarki z mlekiem, która nam go dostarczała, a nazywała się Maria Tokarska — syna jej wypuścił również, gdyż po opróżnieniu bańki zobaczył, że jest w niej tylko mleko. Zapewne uważał, że taki mały chłopiec jest „czysty”. Taka „ochrona” trwała gdzieś do godziny 14.00–15.00, potem wyniósł się i nas zostawił. Gdy wyszedł, postanowiłyśmy, że odprowadzimy z mamą Putę i Babę do Basi Tułeckiej do Forestu. Tam też dziewczyny zatrzymały się. Po pewnym czasie dostałam od Puty (Heli) list, że dotarły do Rymanowa bez przeszkód.

Reakcja Artura — u cioci Gieni

Gdy z daleka zobaczył, że gestapo wyprowadziło Ojca i braci skutych do otwartego auta, chciał do nich wyskoczyć, lecz cioci reakcja była natychmiastowa — odsunęła go od okna i skrzyczała, że chce straszne głupstwo zrobić, przecież im i tak nie pomoże. Tym to sposobem gestapo nie dostało go w swoje łapy.

Artur uciekł w późniejszym czasie do lasu, do partyzantki. Dzięki otrzymaniu od „Białego — Karlika” — pseudonim Habeli — lewe papiery na nazwisko Stanisław Romanowski, brat był w miarę bezpieczny. Artur przyjął w partyzantce pseudonim „Stanisław” i tak dotrwał w oddziale Kmicica do wyzwolenia.

Relacja ks. Prałata Kazimierza Litwina po wyzwoleniu

Gdy ks. Litwin zobaczył mnie na ulicy, zatrzymał mnie i opowiedział o poszukiwaniach Artura w kościele w dniu aresztowania Ojca.

Odprawiał akurat ranną mszę, gdy gestapo weszło do kościoła i zabrało go na poszukiwania celem wskazania Artura, gdyż wiedzieli od nas, że udał się rano do kościoła. Ksiądz Litwin został tą wiadomością zelektryzowany, poganiany przez gestapo, które zaglądało w każdy zakamarek kościelny i obserwowało jego reakcję. Biedny kapłan, mając duszę na ramieniu, w myślach prosił Boga, aby poszukiwanego nie było w kościele. Mówił mi, że mrowie po plecach mu chodziło i w myślach swych modlił się i prosił Boga, aby go nie znaleźli. Powiedział mi, że pierwszy raz w życiu pragnął, aby jego parafianin nie przyszedł do kościoła. Gestapowcy w rzeczywistości nie mogli go znaleźć, gdyż Artur już w tym czasie uciekł do mleczarki Tokarskiej, u której się zatrzymał na krótko, ale o tym ksiądz nie mógł wiedzieć.